ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Sobota 8 grudnia 1934 r. | Nr. 51

Stanisław Piasecki

Dwie prawdy

Przyszły na literaturę polską lata chude. Reprezentacja jest, a jakże, i Akademja w białej sali, i gwiazdy orderowe, i wstęgi. I coraz więcej uroczystych posiedzeń, uroczystych bankietów, uroczystych mów. Ale zato twórczość literacka ostatnich paru lat nie przedstawia się tęgo. Ukończyła swój cykl powieściowy „Noce i dnie“ Marja Dąbrowska — to na dobrą sprawę jedyne wielkie wydarzenie w naszej beletrystyce, a i ono sięga genetycznie okresu przedakademickiego, kiedy to bądźcobądź na przestrzeni kilku lat ukazał się szereg książek o nieprzemijającej wartości. Ilościowo produkcja literacka bynajmniej nie zmalała. Nie wiem, jak to wygląda w statystykach, ale najlepszy barometr — zwały książek na biurku recenzenckiem — wciąż wykazuje ciśnienie wysokie. Nie brak książek ciekawych, dobrze napisanych, obfitych w bystre obserwacje charakteru reportażowego, choć już i nużących pospiesznością roboty pisarskiej, łatwizną mody t. zw. tematu społecznego, nieprzetrawieniem. Materjały literackie raczej, niż literatura. A książki wrażającej się w pamięć dojrzałością pisarskiego osiągnięcia, czy pasją i szczerością, takiej książki, do której miałoby się ochotę wrócić po przeczytaniu, o której miałoby się potrzebę podzielić myślami z innymi, nie spotkało się poprostu w naszej beletrystyce ostatnich dwóch lat.

Aż nareszcie!

I tu pech. Tę książkę musiał właśnie napisać pisarz, który skądinąd jest także wydawcą. W dodatku moim wydawcą. Zrozumiano? Cóż za gratka dla wyżłów literackich, węszących wszędzie gdzie, co i dlaczego. Pierwsza po dłuższej przerwie recenzja, poświęcona książce wydawcy? No, to przecież jasne i zrozumiałe. Niema żadnej wątpliwości. Przyznaję się ze skruchą, że uległem terrorowi możliwości takich podejrzeń. Postanowiłem zaczekać. Niech wprzód napiszą inni. Książka jest tak nieprzeciętna, tak frapująca, tak pisarsko świeża i myślowo szczera, że musi zwrócić uwagę, musi doczekać się ocen właściwych. Co się też i stało.

Mam na myśli książkę Melchjora Wańkowicza „Szczenięce lata“*). W założeniu rzecz skromna, i jak się to mówi, bezpretensjonalna. Wspomnienia z dzieciństwa i młodości. Pisane szeroko, zamaszyście, z jurnym humorem, bez żadnej konstrukcji pisarskiej, na złamanie karku. Bezpośrednie, nieskrępowane niczem opowiadanie. Jeśli się o czemś zapomni w narracyjnej swadzie, to się do tego powraca bez żadnych skrupułów, a potem znów naoślep dalej. Jak w rozmowie.

Gdy się zaczyna czytać „Szczenięce lata“, ma się zrazu wrażenie, że to tylko pyszna lektura w najprzyjemniejszym typie „Przylądka Dobrej Nadziei“ Nowakowskiego. Raz za razem parska się głośnym śmiechem, gdy Wańkowicz opowiada z humorem o dziecinnych psotach w matczynych Nowotrzebach i młodzieńczych kawałach w ojcowskich Kałużycach. Ale im dalej w książkę, tem oczywistsze się staje, że spieniona, błyskotliwa narracja wańkowiczowska kryje w sobie nurt głęboki. Wspomnienia z młodości przekształcają się w szeroki obraz obyczajowy szlacheckiego świata, który tam, w Mińszczyźnie i Kowieńszczyźnie, przetrwał jeszcze do lat młodzieńczych Wańkowicza w reyowskim niemal kształcie. Dlaczego się tak właśnie stało, że tam, na kresach, obyczaj szlachecki i styl życia szlacheckiego przetrwał dłużej, niż w rdzennej Polsce, długo byłoby wywodzić. Był niewątpliwie tarczą ochronną polskości. W Kongresówce dwór szlachecki dawno się już skosmopolityzował obyczajowo. Styl życia, formy towarzyskie, sposób bycia, atmosfera mieszkania — wszystko to nasiąkało coraz bardziej międzynarodową obyczajowością burżuazji. Ziemianin z Kongresówki czuł się najlepiej w Resursie Kupieckiej w Warszawie, a vice versa mieszczanin — w Resursie Obywatelskiej. Odrębność szlachecka zacierała się, warstwa ziemiańska roztapiała się w inteligencję miejską, a i ta jej część, która została na roli, upodobniała się obyczajowo do tamtej.

Na kresach proces ten dokonywał się znacznie wolniej. Siedzieć na roli — to był obowiązek narodowy. Dwór — to był tam przecież polski stan posiadania. Mógł sobie Cześ Wańkowicz studjować medycynę, mógł Tol kończyć architekturę, a stryj Stanisław z Rudakowa nawet budowę okrętów — ale to było tylko intermezzo, oddanie ukłonu nowym czasom. Wszyscy wracali na rolę gospodarzyć. Choć właściwie — bardziej to było siedzenie na roli, niż gospodarzenie. Pokpiwa sobie setnie Melchjor Wańkowicz z gospodarki kałużyckiej, trawestując reyowski „Żywot człowieka poczciwego“ i opisując dzień niepróżnującego próżnowania dziedzica. O 10-ej rano śniadanie (litewskie wędliny!), potem wyprawa do stajni dla poklepania arabczyka, przechodem koło majdanu, gdzie stały narzędzia rolnicze, sakramentalna uwaga „Trzeba będzie te narzędzia umieścić pod szopą, bo deszcz zniszczy“, potem kąpiel w rzece, o 1-szej obiad, po obiadku przejażdżka konna w las, wieczorem „konferencja“ z rządcą („A co, Malkiewicz, ale młodniak na Micziszczu ładny?“ „Oj, ładny, paniczu, ładny“), wreszcie kolacja. Pozatem? Polowania, dziewczęta wiejskie, karty. Trzeba było trwać przy ziemi, to było najważniejsze. Trwać i żyć tak, jak za czasów Reya. Ten obyczaj najlepiej opancerzał.

No, i trzeba było pańskość nosić wysoko, bo pańskość, to była tam — polskość. Na Kowieńszczyźnie, w matczynych Nowotrzebach, stosunki z ludem układały się patrjarchalnie, czy raczej matrjarchalnie; w ihumeńskim powiecie, w Kałużycach, na głuchej Białorusi — feudalnie. Dziedzic we dworze czuł się jak średniowieczny rycerz. I nie była to czcza formułka. Moralne prawo do feudalnego zwierzchnictwa opłacało się krwią. Panowie na Kałużycach nietylko jedli, pili, polowali i gzili się z dziewczętami. Umieli bić się za Polskę. To była ich racja bytu. Ojciec Melchjora, ujęty w powstaniu z bronią w ręku i zesłany na Sybir, dopiero pod koniec życia wrócił do Kałużyc. Tol Wańkowicz, członek konspiracyjnego Zetu, przez granicę szmuglował „Tekę“ i „Przegląd Wszechpolski“, w latach 1917—18 należał do polskiej konspiracji wojskowej, zdobywał wraz z Melchjorem Mińsk. Odbyli potem całą kampanję polską. Wypełnili szlachecki obowiązek, uczynili zadość szlacheckiej racji bytu.

A dziś — jest Polska, ale niema Kałużyc...

Najbardziej to dramatyczne karty książki Wańkowicza z opowieścią, jak się prawda szlachecka spotkała z prawdą chłopską. Rewolucja bolszewicka. Dwór w Kałużycach splądrowany przez chłopów zieje czarnemi oczodołami powybijanych okien. Wańkowicz z ułanami korpusu Dowbora przybywa do ojcowizny:

„Teraz słychać po wsiach wrzaski. Karne ekspedycje ułanów sieką do krwi chłopów. Cóż poradzę? Kto jestem? Gdzie jestem? Nad głową zderzają się żywioły — silniejsze, niż wszystko. W drzewie ludzkości narasta nowy słój. Kora pęka. Co wytłumaczyć tym ułanom? Dzielne, kochane chłopaki. To pewno konieczna cena w dziejach — miara dopełnia krwi. Teraz oto jest ta prawda — w amarantach. Trzy dni temu była ich prawda—szara, łapciowa, kurna i dymna, w zwilgłej sukmanie, z ziemi tej, z mgieł, z błot, z nędzy, z twardego życia. Stare to znajome — od Batorego — pociągnięty pod politurę palisander. O jakże kocham, syn tej ziemi, obie prawdy“.

Nie odpadły odrazu Kałużyce od Wańkowiczów. Jeszcze trzy razy powracali odbudowywać gospodarkę — aż odcięła je granica:

„Rozrachowały się dwie prawdy. Kresom to nie nowina. Szumią sobie lasy dalej, jak przed laty, broczy żywica na wrzosowiska, pachnie ziemia. lśni rzeka, mrówki po lasach odbudowały kopce na wyrąbanych przez wojnę przesiekach i snują się drożynami z igliwia. Odbudował tak i owak szarą chałupę łapciaty chłop i taksamo bure sylwety chłopskie snują się po białych traktach mgłą zasnutych od Osowa po Sycz, od Sycza po Szabynki, do Pisiuty, Kolużа, do Hlewina.

Ziemi tej to nie pierwszyzna, dziejom nie pierwszyzna, pamięci lat kresowych nie pierwszyzna i Bogu nie pierwszyzna w niebie i mądremu porządkowi świata i Wiecznemu Rozumowi i Wiecznej Dobroci, które jak słońce przenikają świat, że źdźbło każde jego rośnie ku lepszemu, ku lepszemu; że na świecie jest coraz lepiej.

Ale cóż począć — gdy dla rozdartego serca ludzkiego — to pierwszyzna“.

Mało jest w literaturze równie wstrząsających spowiedzi ludzkich. Amarantowa prawda, szlachecka racja bytu, wypełniona. Jest Polska, przez tę prawdę wywalczona. Książka zamknęła się na ostatniej karcie. A oto prawda nowa: szara prawda chłopskiej nędzy, chłopskiego głodu ziemi, chłopskiego prawa do życia. Z rozdartem sercem i pękniętą duszą staje na przełomie dni dziedzic wielu pokoleń prawdy amarantowej: tamtą ma w krwi, żyje nią uczuciowo; tę nową, szarą i chłopską, rozumie i aprobuje. Wzrósł, wychował się i skrwawił dla prawdy tamtej, a zbyt żywym jest na to to człowiekiem, aby mógł być tylko jej epigonem, jak Choynowski („W młodych oczach“). Umie i chce widzieć nową epokę. Równocześnie z „Szczenięcemi latami“ — a z pewnością nie przypadkowo — ukazała się druga książka Wańkowicza „Opierzona rewolucja“.

Dwie prawdy: szlachecka i chłopska, tak dziś społecznie przeciwstawne, łączą się jednak i w „Szczenięcych latach“ we wspólnem, takiem samem ukochaniu przyrody przez człowieka wsi, tego z dworu i tego z chaty. W obliczu przyrody, w puszczy, na łowach, pan i chłop byli zawsze sobie równi synowie tej samej ziemi. Leśnik Michiej z Kałużyc z takiem samem nabożeństwem wsłuchuje się w tok głuszców, jak dziedzic kałużycki. W jeden takt biją serca.

Opisy łowieckie Wańkowicza do najpiękniejszych zaliczają się kart jego książki. Jest w nich żywioł. Niełatwo po Weyssenhoffie pokusić się o laury literackie na tem polu. Ale też właśnie Wańkowicz zrywa z wszelką literackością opisu; Weyssenhoff mistrzowsko estetyzował przyrodę; Wańkowicz porywa czytelnika bezpośredniością. Czuje się w nim człowieka puszczy, który nietylko polował w kałużyckich lasach, ale w nich i z nich wyrósł. W jego ustach zwrot „syn tej ziemi“ nie brzmi banalnym patosem; brzmi prawdą uczucia.

Ta zaś prawda uczucia, ta atmosfera zespolenia człowieka z przyrodą, którą przepojona jest cała książka, otwiera czytelnikowi niespodziewaną perspektywę na tragiczny dylemat dwóch prawd: chłopskiej i szlacheckiej. To przecież jedna prawda, rozszczepiona społecznie, ale która musi się znów zestrzelić w jedną smugę. Prawda człowieka wsi, człowieka związanego z przyrodą.

*) MELCHJOR WAŃKOWICZ: **Szczenięce lata.** Warszawa, 1934. Towarzystwo wydawnicze „Rój“. Str. 296.

Zdzisław Broncel

Remarque wojny 1905 r.

Dwa tomy pamiętnika Nowikowa-Priboja *), marynarza z bitwy pod Cuszimą, są lekturą pasjonującą. Nie mieliśmy jeszcze książki-dokumentu o wojnie na morzu, reportaże wojenne fotografowały linję okopów, „Na Zachodzie bez zmian“ znaczyło ciągle — bez zmian na pozycjach stałego frontu. Ale jest w wojnie i front drugi, zmienny, przenoszący się z miejsca na miejsca, walczący nawet w odległości tysięcy mil od ojczyzny — właściwie nie front, lecz jedna skoncentrowana armja, lecz jakby kawał żywej ziemi, oderwany od macierzystej gleby i rzucony na morze.

To flota. Trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, sto okrętów — eskadry rozsyłane na północ i południe, przeznaczone do stoczenia jedynej, decydującej bitwy. Prawdziwie wielka rozprawa na morzu nie zdarza się często i dlatego może bitwy morskie prawie zawsze przechodzą do historji. Bitwa na morzu jest jakby wojną samą w sobie — to nie walka, z której można wycofać oddziały, która może być epizodem; spotkanie dwóch wrogich flot musi prowadzić do rozstrzygnięcia. To pojedynek z warunkiem — aż do śmierci.

We współczesnej bitwie wodzowie nie walczą bezpośrednio i nie giną, w wojnie morskiej admirał jest tak samo wystawiony na pociski, jak prosty marynarz. Na lądzie śmierć niosą kule, na morzu grąży się w otchłań śmierci i ten, kogo kula nie drasnęła. Palacz przy maszynie słyszy tylko głuche uderzenie w pancerz ściany okrętu, pochylenie okrętu jest sygnałem zagłady — to może być napór fal, a może być i początek końca. Gdy okręt tonie, do schowanych w głębi komór maszyn woda dostaje się najpóźniej. W okręcie, znikającym pod powierzchnią wody, mogą jeszcze żyć mechanicy, mając świadomość, że za sekundę, za dwie zaleje ich morze.

W bitwie lądowej rozrywający się pocisk rani dziesięciu ludzi, na morzu wybuch torpedy zatapia dziewięciuset.

W pamiętniku z wojny morskiej niema opisów żmudnej, codziennej pozycyjnej walki. Bitwa za jednym zamachem rozstrzyga wszystko. W chwili bitwy ogniskują się wszystkie elementy wojny — patos wymierzania samemu sobie najwyższej sprawiedliwości przez śmiertelną walkę dochodzi do szczytu. Bitwa na lądzie może być widowiskiem dramatycznem, bitwa na morzu jest zawsze widowiskiem tragicznem. Jest teatrem historji. Ostatni akt widowiska zostawia trwały ślad. Śladem Cuszimy jest rewolucja 1905 r., a dalej — ostateczny rozkład carskiej Rosji i przewrót bolszewicki.

W książce Nowikowa-Priboja relacja spod Cuszimy zajmuje conajwyżej jedną czwartą pamiętnika i nie ona pozostaje w pamięci po przeczytaniu książki. Groza wydarzeń zaczęła się już z pierwszą stroną opowieści i narasta tak, że zanim padnie wystrzał armatni, wiemy o klęsce. Klęska jest nieuchronna. Parodjując wyrażenie o przewidzianem i obliczonem zwycięstwie, trzeba powiedzieć o klęsce przewidzianej i obliczonej. Walka pod Cuszimą rosyjskiej eskadry admirała Rożestwienskiego i eskadry japońskiej admirała Togo stanowi dla nas finał tragedji, jakby wyrok przeznaczenia, rzecz, która musiała przyjść.

Napięcie dramatyczne opowiadania Nowikowa-Priboja tkwi w rosnącym, umacniającym się sądzie, że flota rosyjska nie powróci do Kronsztadtu. Wojna jest pozornie wojną, eskadra Rożestwienskiego jedzie nie walczyć, ale poddać się egzekucji. Płynie na rozstrzelanie.

Cuszimę znamy z filmów i z powieści Farrère'a „La Bataille“. Nowikow musi patrzeć na Cuszimę inaczej, bo gdy Farrère czy reżyser filmowy roztacza wizję całości bitwy, Nowikow nie traktuje jej, jako materjał powieściowy — jest to jego własne, rzeczywiste przeżycie. Rzeczywiste, a więc związane z ograniczonym terenem — z pokładem pancernika „Orioł“. Książka daje syntetyczny obraz życia na pancerniku carskiej floty, a ponieważ Nowikow miał tylko szarżę podoficera, więc patrzył na życie na „Orle“ zdołu — od strony setek marynarzy, a nie dziesiątka oficerów.

Nowikow jest obecnie uznanym, poczytnym autorem sowieckim. W okresie Cuszimy był zakonspirowanym rewolucjonistą i miał opinję podejrzanego politycznie. Śledzono go. Zapewne swojej nieprawomyślności zawdzięczał przeniesienie na pancernik, wyruszający na Daleki Wschód. Drugą eskadrę Rosja kompletowała z rezerwistów, z żołnierzy-przestępców, z karnych oddziałów i z ludzi, mających złą opinję polityczną. Dawny dowódca Nowikowa składa mu życzenia, że pójdzie walczyć za ojczyznę, a równocześnie wie dobrze, czemu to Nowikow zawdzięcza ów zaszczyt. Dochodziło do tego, że na okrętach 7 proc. załogi stanowili t. zw. „karni“ — t. j. wysyłani na front za różne przewinienia.

Dopiero początek tragikomedji. Flota rosyjska tylko w części składa się z nowych okrętów. Większość stanowią okręty przestarzałego typu. Japończycy mają przewagę w ilości, w szybkości i w jakości. Pierwsza eskadra, liczniejsza od drugiej i mająca oparcie w Porcie Artura i Władywostoku, dała się uwięzić w porcie, a następnie bez walki, zatopiła okręty, chroniąc załogi w twierdzy Portu Artura. Jeżeli tamci nie mieli odwagi przebić się przez pierścień floty japońskiej, czegóż można się spodziewać po drugiej eskadrze?

Oto przyrządy celownicze na okrętach sprowadzono w ostatniej chwili, nie zna ich obsługa, nie potrafią się niemi posługiwać oficerowie. Na próbnych strzelaniach tarcze celownicze pozostają nietknięte. Okręty nie potrafią manewrować. W czasie podróży kilkakrotnie omal nie wpadają jeden na drugi. Wódz całej wyprawy, Rożestwienskij, wydaje decyzje, równające się konsekwentnie przygotowywanemu samobójstwu. W załogach wybuchają bunty — oficerowie traktują marynarzy jak zwierzęta, biją, kopią i katują. Admirał podobny jest bardziej do furjata i marnego aktora, niż do wojskowego.

Długie miesiące płynie eskadra z Kronsztadtu na wody Japonji. Opływa Afrykę, stoi u wybrzeży Madagaskaru, opływa Indje i wreszcie zbliża się do Cuszimy. I ginie o trzy doby drogi od celu podróży, Władywostoku.

Wspomnienia Nowikowa są notatkami rewolucjonisty. Nowikow-Priboj urządził sobie jakby eksperymentalne studjum socjologiczne. Ma na okręcie carską Rosję w minjaturze. Bystro chwyta szczegóły, daje świetne obserwacje i trafne wnioski. Przeprowadza niby sekcję trupa. Widzimy postępujący proces zgnilizny i rozkładu. Patrzymy na wydarzenia wprost nieprawdopodobne, na istny obłęd i zaślepienie. Admirał Rożestwienskij prowadził eskadrę, wierząc w zwycięstwo. Lekceważył przeciwnika, a wiernopoddańcze formy przekładał nad przygotowanie bojowe. W dzień bitwy nie wydano szczegółowych rozkazów, lecz odprawiono galowe nabożeństwo na intencję cara...

Pamiętnikarska opowieść Nowikowa jest dobitną demonstracją, jak niebezpieczna jest wojna bez woli narodu i jak niszczy sam siebie ustrój absolutyzmu.

Wojna zaś, prowadzona tylko w imię wyrachowań politycznych, załamie się tak, jak załamała się wojna rosyjsko-japońska 1905 r. i jak załamała się na tle wewnętrznej przemiany w psychice niemieckiej wojna Niemiec z 1914 r.

Gdy czytamy w „Cuszimie“ dzieje jednego odcinka walki rosyjsko-japońskiej, widzimy, jak bardzo już ten typ wojny stał się kategorją historyczną. Jak dziś już jest w Europie nie do pomyślenia wojna królów, czy cesarzy.

Marynarze rosyjscy, załadowani na stalowe pancerne okręty, mówią między sobą, że przyczyną walki z Japonją są koncesje leśne na Korei. W pierwszym dniu wyprawy drugą eskadrę w pełni ogarnia defetyzm. Za lada przyczyną wybucha panika. Wystarczyło niespodziewane pojawienie się statków rybackich w nocy, by okręt „Kamczatka“ sygnalizował: „Jesteśmy otoczeni przez torpedowce japońskie“.

Zrozumiała jest panika wśród załogi. Wynikła ze strachu przed śmiercią i z obojętności dla celów wojny. Ale panika wśród oficerów? To już jest przykład głupoty. Przy czytaniu „Cuszimy“, co strona powraca nam pytanie: czyż możliwe, ażeby rządy absolutne, rządy nie dopuszczające żadnej krytyki, oparte na klice i zmartwiałych formach życia, mogły wykształcić aż tak gigantyczne głupstwo! Niewątpliwie, Nowikow-Priboj dodaje wszędzie sowiecki retusz, widać nieraz nawet wyraźnie współczesne sowieckie bezbożnictwo, lecz bezprzykładna klęska floty w zasadzie potwierdza ocenę Nowikowa. Tę ocenę da się wyrazić, mówiąc bez ceremonji, w określeniu: marynarze — sterroryzowany tłum, oficerowie — nieucy i psychopaci.

Dość chyba wyraźnie wystąpiło piętno Przeznaczenia, jakiem carski regime naznaczył eskadrę Rożestwienskiego. Przeznaczenie dopełniło się 14/27 maja 1905 r.

„Chciałem biec nadół — notuje Nowikow-Priboj w opisie bitwy — ale usłyszałem skądś okrzyki:

— „Borodino“! „Borodino“!

Chwilę wcześniej, gdy tylko znalazłem się na górnym pokładzie, zwróciłem uwagę przedewszystkiem na ten pancernik. Wiodąc za sobą eskadrę, był już przechylony na prawą burtę i obrastał ognistemi kwiatami. Paliły się na nim mostki, salon admiralski, płomienie wydostawały się przez strzelnice armatnie, nadając ciemniejącemu w pobliżu morzu odcień bordo. A teraz to, co zobaczyłem, sprawiło mi ból w piersi. „Borodino“ nie wychodząc z linji, szybko przewrócił się na prawą burtę i oddawszy ostatnią salwę z dwucalowej wieży na rufie, przewrócił się do góry stępką. Z pancernika zdążyło wyskoczyć ze dwudziestu ludzi, a reszta, około 900 ludzi pozostała wewnątrz potężnego kadłuba żelaznego.

Stało się to o godzinie 7 minut 10.

„Przepuściliśmy „Borodino“ poza naszą prawą burtą i popłynęliśmy dalej“.

Nowikow-Priboj nie ma w sobie histerji Remarque'a. Jest prosty i męski. Jest rewolucjonistą, a nie zdegenerowanym przez wojnę inteligentem. Daje jednak tak plastyczne odbicie nastrojów i przeżyć marynarzy, tak jaskrawo wydobywa rozkład armji i znaczy smutny jej koniec, że przystoi mu nazwa Remauque'a wojny 1905 r.

Tylko, że Nowikow-Priboj należy do innego pokolenia, niż Remarque. Remarque przegrał samego siebie wraz z przegraną wojną. Nowikow-Priboj w klęsce 1905 r. zaczął dopiero prawo do siebie zdobywać.

*) A. NOWIKOW-PRIBOJ. **Cuszima.** Tom I — str. 218; tom II — str. 201. Warszawa 1934. Tow. Wyd. Rój.

Przekład **Władysława Broniewskiego** żywy, ale z widocznemi śladami pośpiechu. Są i błędy językowe i niezręczności stylistyczne.

Ludwik Grabowski

Obóz wojskowy na Powązkach

Pośród rękopisów, przechowywanych w „Bibliotece Narodowej“, znajduje się obszerny pamiętnik hr. Ludwika Grabowskiego (* 1809 † 1881). Ojcem autora pamiętnika był minister wyznań i oświecenia za Królestwa Kongresowego — Stanisław Grabowski, który ten wysoki urząd zawdzięczał nietyle zasłudze i zdolnościom, ile raczej swemu pochodzeniu, był bowiem synem króla Stanisława Augusta z jego morganatycznego małżeństwa z wdową po jenerale Grabowskim.

Na stanowisku ministra oświaty nie zapisał się Stanisław Grabowski wdzięcznie w pamięci rodaków. Wraz z pomocnikiem swoim, osławionym prezesem cenzury, J. K. Szaniawskim, był bezwolnem narzędziem reakcyjnego systemu Nowosilcowa. Po wybuchu powstania listopadowego usunął się od życia publicznego i nie odegrał już nigdy wybitniejszej roli.

Z trzech jego synów najmłodszy Ludwik, chociaż większą część życia spędził w zaciszu wiejskiem (Majdany w Radomskiem), był bacznym obserwatorem wypadków krajowych. W młodości przebywał kilkanaście lat w Warszawie, gdzie dzięki związkom rodzinnym, stosunkom ojca i wuja, ministra skarbu podczas rewolucji, Leona Dembowskiego, obracał się w kołach rządowych i należał do elity towarzyskiej Królestwa Kongresowego. W pamiętniku swym poświęca wiele miejsca wydarzeniom i ludziom tej epoki. Jakkolwiek stara się usprawiedliwić ojca, nie podziela jego skłonności ugodowych. Z pamiętnika przebija gorące uczucie narodowe, reagujące żywo na wzrastający z każdym rokiem ucisk i wzmagającą się rusyfikację. Grabowski przeżył powstanie listopadowe i powstanie styczniowe. Był świadkiem, jak coraz bardziej kurczyła się autonomia Królestwa, aż wkońcu ledwie cześć nazwa po niej została. Po roku 31-ym zniknęło wojsko polskie. Grabowski wspomina o niem z największą miłością. Nietylko o czynach wojennych. W młodości zatrudniony w administracji wojskowej, interesował się specjalnie organizacją armji. O sprawach tych pisze często i obszernie, a że posiada dar żywego opowiadania — jego „militarja“ mogą zaciekawić nietylko wojskowych. Dla przykładu przytaczam poniżej barwny opis obozu wojskowego na Powązkach.

Przemysław Maczewski.

„Niegdyś za rogatkami powązkowskiemi stały śliczne wille, słynne przepychem wewnętrznego urządzenia, pomimo skromności zewnętrznej budowli. Park otaczający je był ładnie zarysowany. Liczne wody i strumienie umiejętnie ujęte, czyniły z Powązek rezydencję jedną z najmilszych. Tam młoda naówczas Izabella Xiężna Czartoryska z licznem gronem najwytworniejszej młodzieży płci obojga, miłe chwile swobodnego życia w dostatku i hołdach mnogich wielbicieli spędzała.

Cudne to ustronie, przypominające Trianon Marji Antoniny, królowej francuskiej, na tenże sposób urządzone, napełnione było pasterkami florjanowskich *) sielanek i pasterzami z tyrsem w ręku. Tam wytwornemu towarzystwu płynęły swobodne chwile uciech, uroczystości, tańców, wycieczek, podwieczorków nad brzegiem strumyka, przy szmerze malutkich kaskad, które ręka zdolnego ogrodnika umiała utworzyć na tej bilardowej płaszczyźnie, aż straszny huragan zniszczenia złowrogo zawył po tych uroczych ustroniach.

KONIEC SIELANKI

Grzmot dział pruskich, szturmujących Warszawę podczas powstania Kościuszki ogłuszył miłe kwilenie słowików, wypłoszył nimfy i drjady, zaludniające gaje i łąki Powązek, a z nową Circe — X-ną Izabelą, która to błogie ustronie stworzyła, usunął się cały chór towarzyszek.

Umilkły gaje i gruchania miłosne. Grad kul i kartaczy świstał nad tem ustroniem, a pańska, czarująca siedziba w ruinę zapadła. Na jej miejscu wzniósł się krzyż i zaczęły się rozlegać śpiewy za umarłych. Część dawnej siedziby zamieniono na cmentarz, jakby dając wskazówkę, że największe świata rozkosze są tylko prochem i marnością. Druga część Powązek została ugorem, zarosłym cierniem i ostem.

OBÓZ WOJSKOWY

Na tej pustej części postanowiono założyć obóz dla wojska. Obszerne błonie przedstawiało dogodny plac dla manewrów nietylko brygad i dywizyj, ale i dla całej armji. Strumień świeżej wody nader był pożądany, tam więc kwatermistrzostwo urządziło obóz, kiedy go W. Książę Konstanty w lecie w pobliżu Warszawy mieć pragnął.

Armja polska składała się z trzech dywizyj piechoty, pułku gwardji grenadjerów, odpowiedniej artylerji pieszej, dwu dywizyj konnicy, artylerji konnej i specjalnych komend. Oprócz tego konsystowały w Warszawie i okolicach dwa pułki gwardji pieszej z artylerją i trzy pułki gwardji konnej rosyjskiej. Dla tej masy wojska urządzić trzeba było odpowiednie umieszczenie. Chodziło o piechotę i artylerję, kawalerja bowiem kwaterowała w najmowanych koszarach. Rozlokowano również na służbie będące pułki konne po wsiach okolicznych.

Pierwszem zadaniem obozu było zapewnienie wygodnego rozłożenia wojska. Urządzono je w sposób następujący:

Na wyznaczonej linji obozowej każdy pułk, należący do brygady i dywizji według następstwa numerów swoich był umieszczony. Na froncie miejsca, przeznaczonego dla pułku, wystawione były długie, płótnem woskowanem okryte rodzaje półek, wzmocnionych osypem darniowym, na których szeregiem, stosownie do plutonu, do którego należały, ustawione były kaszkiety, tornistry i lederwerki z ładownicami. Na każdym rogu tego magazynu stały kozły z bronią każdego plutonu i przy nich odwachy oraz warta. Broń miała nad sobą daszek z firankami płóciennemi, które po capstrzyku zasuwano, a zwłaszcza podczas deszczu.

NAMIOTY I BARAKI

Za linjami kaszkietów, lederwerków, tasaków i ładownic były rozbite w szeregu namioty dla żołnierzy. Za każdym plutonem był barak dla dowodzącego nim oficera. Dalej wznosiły się baraki kapitanów, dowodzących kompanjami. Za barakami kapitanów stały baraki komendantów bataljonowych, a dalej — pułkownika. Poza obozem dwóch pułków wznosił się w środkowym punkcie pawilon generała brygady i jego adjutantów, a za nim generała dywizji i sztabu jego.

Dla oficerów, mających obowiązek występować konno, były urządzone odpowiednie stajnie i baraki dla służby, zaś przy pułkowniku — dla sztabu pułkowego, kancelarji, służby zdrowia i muzyki pułkowej. Poza frontem wznosiły się obszerne namioty kuchenne i stołowe, restauracje, cukiernie, szynki i sklepiki z wiktuałami, słowem — obóz każdego pułku, brygady i dywizji stanowił rodzaj miasta improwizowanego, w którem nic nie brakowało, nader ożywionego, lecz w porządku utrzymanego.

Zdawaćby się mogło, że to natłoczenie ludzi zamęt jakiś czynić będzie. Bynajmniej. Łatwe i wygodne przejścia oraz aleje ułatwiały wszędzie dostęp, a chociaż żołnierze, jak mrówki, snuli się i krzyżowali, każdy wiedział, gdzie i poco dniem i nocą miał się udać. W jednej chwili kompanja, bataljon, pułk, dywizja obóz cały — stanąć mogły pod bronią, w gotowości wojennej.

PLANTACJE OGRODOWE

Jak wyżej wspomniałem, pole obozowiska było zdziczałem pustkowiem. Skwarne słońce byłoby niesłychanie dokuczliwe dla obozujących, więc postarano się ocienić to miejsce. Każdy dowódca pułkowy lub baterji, ubiegał się jeden przed drugim o lepsze urządzenie ogrodowe w swym obozie. Mając tyle rąk zdatnych do pracy, dokonano niezliczonych plantacyj drzew ocieniających, krzewów wonnych i gojących, tak że obóz na Powązkach stał się wkrótce wspaniałym ogrodem. Każdy barak oficerski był otoczony klombami drzew i kwiatów najrzadszych. To przedtem głuche pustkowie zamieniło się w nader ożywioną i miłą okolicę.

W OBOZIE WESOŁO

Różnorodna gimnastyka naukę i rozrywkę dawała żołnierzom, a tłumnie odwiedzający przyjaciele, krewni i znajomi ożywiali obóz, w którym wolno było wszystkim przechadzać się do chwili zakończenia capstrzyku. Rozmaite gromady skoczków, sztukmistrzów, wędrujących muzykantów rozweselały żołnierzy w chwilach wolnych od służby. Szkoła pływania w pobliskim Marymoncie dawała ochłodę i czystość. Od godziny 6-ej popołudniu występowały kapele wojskowe przed front i przygrywały najcelniejsze wyjątki oper, skoczne tańce lub wspaniałe marsze. Co wieczór nieprzeliczona moc spacerujących pieszo, konno lub w powozach snuła się po licznych, bitych drogach, przecinających obozy, bo każda dywizja swój osobny miała.

CAPSTRZYK

Było gwarno, aż punkt o 9-ej wieczorem wystrzał armatni kończył wszystko. Muzyki przestawały grać choćby w połowie taktu, a zebrani wszyscy dobosze uderzali capstrzyk, któremu według utworzonej na ten cel melodji akompanjowały kapele. Dobosze maszerowali podwójnym krokiem przed całym frontem pułku. Podczas capstrzyku wszyscy żołnierze w furażerkach występowali wraz z komendą oficerską na front obozu przed szeregami kaszkietów i czekali ukończenia capstrzyku.

MODLITWA WIECZORNA

Gdy muzyka przeszła przed frontem pułku i w oznaczonem miejscu stanęła, milkły bębny i trąby — głuche milczenie następowało. Wtedy kapelan pułkowy występował w albie i stule i wolnym a doniosłym głosem odmawiał modlitwę wieczorną. Cały front zdejmował furażerki i za kapłanem modlitwę powtarzał. Uroczysta to była chwila, pobudzająca wszystkich do wzniesienia ducha. Zwłaszcza wielkie wrażenie czynił koniec modlitwy, kiedy przy słowach: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu“ — jeden głuchy odgłos tysięcy uderzonych piersi trzykrotnie się rozlegał.

Po modlitwie na komendę wszyscy żołnierze szli do namiotów. Gaszono ognie, a przeciągły okrzyk: „baczność!“ przez szyldwachów obwoływany, szedł długiem echem po wszystkich obozach. Po zakończeniu capstrzyku nikt z obcych nie mógł w nich przebywać. Szyldwachy przepuszczali tylko wojskowych na hasło i odzew.

Ponieważ wojsko rozchodziło się z obozu w miesiącu wrześniu, więc dla zachowania prac w nim dokonanych i materjału — była wyznaczona stała służba t. zw. „gewaltygierów“, którzy wszystko w porządku przechować byli winni i przygotować obóz do nowego zajęcia w następnym roku“

*) Florian (1755 — 1794) poeta francuski, autor słynnych sielanek.

Jan Gralewski

Widoki

Kiedy autor mówi „Okna“ *), słuszną jest rzeczą, aby czytelnik odpowiedział — widoki. Skoro zaś ma być mowa o „Oknach“ Michała Pawlikowskiego, słowo „widoki“ wydaje się w ustach czytelnika szczególniej odpowiednie.

Pawlikowski bowiem pokazuje czytelnikowi to, co przez okna swego domu ogląda. Książka jego ma poniekąd charakter rodzinny. Jeśli, co często czytając czynimy, postaramy się wyobrazić sobie autora i jego pracę pisarską, to na podstawie tej książki możemy sobie wyobrazić Pawlikowskiego nie przy biurku, w otoczeniu foljałów, ale opowiadającego w jakimś zacisznym pokoju, w otoczeniu rodziny i gości. Odnosi się wrażenie, jakby autorowi za mało się wydało to domowe audytorjum i oto zaprasza gościnnie czytelników swej książki, aby i im pokazać jakie to widoki zobaczyć można przez okna jego domu. Wrażenie to usprawiedliwiają zawarte w tej książce wspomnienia, wplecione czasem w tok rozważań ogólniejszej natury i to, że sam autor zaznacza w przedmowie, iż szkice te mają charakter raczej domowych pogawędek.

Wydaje się rzeczą niewątpliwą, że marginesowym zamiarem autora było wykazanie, jak żywem ogniskiem kulturalnem może się stać ognisko domowe. Nie mówi tego wyraźnie, ale w pewnym momencie prawie już karty na stół wykłada — gdy mianowicie pomstuje na karciarstwo i bridge'a.

Do tej intencji autora tytuł „Okna“ szczególniej pasuje. Okno bowiem, poza swoją wartością czysto praktyczną, jako otworu, dostarczającego światła, ma także pewne wartości natury psychicznej, przydatne dla życia domowego. Okno pomnaża i potęguje poczucie „bycia u siebie“, poczucie zaciszności i swojskości domu, przez to, że ukazuje wycinek zewnętrznego otoczenia, stwarzając granicę między „domowem“ i „obcem“. Możnaby powiedzieć, że w chwilach, kiedy atmosfera zadomowienia szczególniej nam jest potrzebna, koncentruje się ona niewidocznie na przezroczej ściance szyby.

Kiedyindziej zaś okno sprawia, że dom rozszerza się poza obręb ścian i ogarnia to wszystko, co przez nie widać. Codziennie oglądane przez okna widoki stają się niejako częścią umeblowania domu.

Te rozważania o oknie obrazują funkcję społeczną rodziny, domowego ogniska, o której Pawlikowski mówi między wierszami swej książki.

Ognisko domowe, jako miejsce, służące nietylko do spania i jedzenia, ale w znaczeniu szerszem — jako ognisko kulturalne, ma podobnie podwójną rolę — oddzielającą i łączącą. Oddziela od społeczeństwa, stwarzając granicę, wyrażającą się w przeciwstawieniu „obce“ i „nasze“ i jest czynnikiem wzmagającym bogactwo rozmaitości charakterów i typów, ale także kolejami swych dziejów, podobieństwem swych szczególnych tradycyj i obyczajów, do tradycyj i obyczajów powszechnych, łączy i zespala z dziejami narodu i upowszechnia to, co Pawlikowski nazywa „duchowym wyrazem twarzy narodu“.

Jak niewidzialne szprychy, wybiegające z okien domu ku obręczy widnokręgu wiążą zawarty w tej obręczy szmat ziemi w koło, tak rodzina odrębnością swą wiąże się i zespala z całością narodu.

Tak możnaby mniejwięcej zrekonstruować z międzywierszowych niedomówień tę marginesową intencję Pawlikowskiego.

Zobaczmy teraz, co Pawlikowski pokazuje przez swe „Okna“.

Zacznę od końca, co uczynić wolno, bo autor upoważnia w przedmowie do tego, by szkiców jego nie czytać według kolejności, ustalonej przez spis rzeczy.

Na końcu mieści się szkic o najbardziej ważkim ciężarze gatunkowym. Tytuł — „Kultura Narodowa“. Jest to szkic, w którym zawiera się esencja tej zasadniczej osnowy, na której utkane są szkice poprzedzające.

Kultura narodowa, sztuka narodowa, jako tematy rozważań, uchodzą w oczach współczesnych snobów za rzecz tak niewytworną i prowincjonalną, jak niemodnie skrojona marynarka, w której ani razu nie możnaby się pokazać w Ipsie. Trzeba tam bowiem subtelnie dobierać, zarówno swój kostjum zewnętrzny, jak i kostjum głoszonych frazesów, wybierając coś pośredniego między długiemi butami, które zbyt wielu osobom przypomniałyby nieprzyjemną anegdotkę o Icku, pod którym koń się skończył, a chałatem, który byłby niedyskrecją w stylu plus catholique que le Pape — au contraire.

Wszelka wzmianka o kulturze narodowej spada w atmosferę tego snobizmu, jak ów robotnik blacharski, który, wedle anegdoty, spadł z wieży kościelnej w tłum żydów i zabił jednego z nich, na co się podniósł wielki gwałt, ale gdy potem zaproponowano jako sposób wymiaru sprawiedliwości, aby jeden z żydów wlazł na wieżę i spadając, zabił Polaka — to nie było na to amatorów.

Trudno przewidzieć, czy gwałt podobny podniesie się z racji książki Pawlikowskiego. To, co Pawlikowski mówi o kulturze narodowej, nie ma zacięcia nowatorskiego, jakkolwiek współczesne nowatorstwo, to, które jest naprawdę nowe i młode, idzie w tymże co i on kierunku.

Człowiek naprawdę nowoczesny, to już nie przedwojenny mieszczuch, syty w atmosferze bankierskiego luksusu i upajający się postępem nowoczesności. Człowiek współczesny jest już zblazowany postępem techniki, nie dziwuje się — „Moja pani, czego ci ludzie nie wymyślą!“, bo widzi zakończenie się i zgrzybiałość dawniej imponującego „postępu“, widzi, że ci ludzie, którzy potrafili wymyślić postęp i tyle nadzwyczajności technicznych, jakoś nie nie mogą wymyślić przeciw kryzysowi, który go dławi. Człowiek nowoczesny ogląda nędzę materjalną i nędzę duchową, nie dobrobyt i postęp, i chcąc ruszyć z martwego punktu, szuka stałej podstawy, któraby mu dała dobrobyt przedewszystkiem duchowy. Tę podstawę i lekarstwo na złe samopoczucie własnej bezsilności i prowizoryczności, własnego kryzysowego istnienia, szuka w trwałości i żywotności narodu. Zdetronizowany król stworzenia szuka wyższych wartości, pod które mógłby się schronić i z których mógłby czerpać moc.

Dawniej imponujący postęp staje się już coraz bardziej staroświecki i zaściankowy.

Nowoczesnego, kryzysowego człowieka nie zgorszy tradycjonalistyczny nieco ton Pawlikowskiego, i jakkolwiek nie wszystko może przyjmie on bez zastrzeżeń, to w każdym razie, znajdzie tam zdania nie rewelacyjne, zapewne, ale takie, które trafiają w jego głód moralnej przebudowy. Niech o tem zaświadczą następujące cytaty:

„...propagowanie kultury wszechludzkiej, powszechnej, bez uznania kultury narodowej, jest stawaniem na martwym punkcie, pozbawionym dynamiki twórczej, zamykającym drogi rozwojowe.“

„Organiczne odrębności kultur narodowych wnoszą odrębne wartości do akordu cywilizacyjnego świata, i będąc właśnie odrębnemi stają się objektem bogacącym wzajemnie inne kultury.

To są kultury żywe, dynamiczne, twórcze za życia narodu, a i po przejściu grupy, która je stworzyła przechowują żywe ziarno“.

„Wszelka wartość sztuki polega na jej odrębności, na indywidualnym charakterze jej dzieł.“

„Każde indywiduum jednostkowe jest częścią jakiegoś indywiduum zbiorowego. Im większe i silniejsze jest indywiduum, tem silniej musi się w niem wyrażać także charakter indywidualny rasy, narodu, kultury, która je wydała. Indywiduum jednostkowe jest emanacją indywiduum zbiorowego“.

„Nie znaczy to jednak, że sztuka ma wyrażać ideały narodowe... — ale że musi posiadać cechy indywidualne i wyraz jednolitej rasy“.

„Sztuka anrodowa polska może mówić o czem chce, tworzyć co chce i jakiemi chce środkami, ale musi mówić i tworzyć po polsku“.

Rozdział poprzedzający o „Lekturze (Króla Ducha)“, dotyczy zagadnienia treści i formy w sztuce, oraz specyficznych sposobów wyrazu w poezji.

Zagadnienie treści i formy w sztuce, wyłoniło się bodaj pod wpływem i współcześnie ze sztuką plastyczną ściśle realistyczną i tematową. Było skutkiem walki z tematem. Wprowadziło jednak pewne zamięszanie treści i formy, w którem treść nazwaćby raczej należało tematem, to zaś przeciwstawienie — tematu i formy nie ma istotnego znaczenia.

Takie zaś wadliwe rozróżnienie stworzyło okazję do krańcowych przekonań, że istotą stzuki jest sama forma lub sama treść, co upoważniało do rozgrzeszania się bądź z obowiązku wysiłku duchowego, bądź z obowiązku rzetelności formy i dawało w wyniku dwa rodzaje rozbieżnych kierunkowo, ale jednakowo nędznych liehot.

Pawlikowski treść określa, jako treść uczuciową, treść poetycką, która poprzez formę komunikuje odbiorcy stan duszy artysty — nie zaś bezpośrednio budzi myśl lub opowiada fakty, a recytowanie faktów może być tylko jednym ze środków do wywołania właściwego celu.

Tak sformułowawszy swoje stanowisko, przechodzi do systematycznego wykładu sposobów wyrazu w poezji, na przykładzie wyjątków z „Króla Ducha“.

Nie czyni tego na sposób przyczynkarski z lupą w ręku i przy pomocy lancetu. Raczej, mówiąc stylem Norwida, odmyka tę poezję, jak drzwi do domu wiodące, co czynić może tem łatwiej, że klucz do poezji Słowackiego jest dziedziczną własnością Pawlikowskich. Wskazuje zaś nie na jakieś martwe reguły poetyckiego rzemiosła, ale na prawa rządzące procesem przenikania treści poetyckiej, do odbiorcy drogą transmisji wyobrażeniowej przez to, co możnaby nazwać pozalogiczną treścią słów.

Postępujemy dalej zaczętą drogą od końca książki ku jej początkowi. Opłaci się to. Napotykamy bowiem na tej drodze Kasprowicza we własnej osobie, idącego swemi codziennemi krokami, takiego, jakim go Pawlikowski widział. Dzięki i za te fragmentaryczne wspomnienia, skoro nie możemy już widzieć Kasprowicza na własne oczy. Codzienność wielkich ludzi jest zawsze trochę zaskakująca nasze własne względem nich nabożeństwo, a słoneczno - zgrzebna prostota Kasprowicza jest czemś pocieszającem dla pospolitego człowieka.

Rozdział następny zawiera także wspomnienia. Tym razem o Maryli Wolskiej. Za te wspomnienia należy się też autorowi wdzięczność, bo zbyt mało wiemy o tej prawdziwej i znakomitej poetce, a i dla tego, że danem nam jest zobaczyć postać niezwykle jasną.

Następny rozdział — to już pierwszy licząc od początku książki. Zawiera on coś jakby odwrotną stronę i dopełnienie tego, co znajduje się w rozdziale o lekturze „Króla Ducha“.

Podczas gdy tam oglądamy poezję oczyma czytelnika, tutaj pokazuje Pawlikowski tajemnice twórczości poetyckiej od strony pracy autora. Są to jakgdyby usystematyzowane wspomnienia, wydobyte drogą wnikliwej introspekcji, a wskazujące na zmaganie się treści z formą i drogi, jakiemi treść szuka sobie wyrazu w formie.

To już są wszystkie widoki z „okien“ Pawlikowskiego. Na pierwszym planie widać wiele z własnego ogrodu, ale, że są to okna wiejskie, więc wzrok nie zatrzymuje się na pobliskich ścianach, tylko biegnie ku dalekim horyzontom.

Książka nie przynosi rewelacyjnych sensacyj. Autor nie ubiega się o to. Kto jednak, nie szukając sensacyjnych dreszczów, chce spędzić wieczór w atmosferze wysokiej kultury, niech się przez te okna rozejrzy i posłucha opowiadań autora.

*) MICHAŁ PAWLIKOWSKI: **Okna.**

Adolf Nowaczyński

Dlaczego przepadł Upton Sinclair?

Powieściopisarz amerykański Upton Sinclair z Pasadena (California) liczy sobie 56 lat a ma za sobą 52 tomy produkcji powieściowej.

Wśród tych 52 tomów jest kilka globowych sukcesów typu sensacyjnego (Grzęzawisko, Nafta, Giełda); reszta słoma, siano i sieczka, dobra i w sam raz dla końskich żołądków i dla szerokich m a s s e s. Zestawiać go z Zolą jest grubą przesadą i ordynarnem nieporozumieniem, a zaś używać przy obwartościowywaniu go jakichś literackich kryterjów... wprost nonsensem. W porównaniu z Dreslerem wygląda żałośnie a mieszanie i plątanie jego firmy z nazwiskiem Sinclair Lewisa to wprost horrendum a równocześnie curiosum.

Upton Sinclair został jednym z p r o m i n e n t, jako dostawca punktualny socjalizującej, doktrynerskiej, najpłytszej i najpospolitszej beletrystyki, wywlekającej różne tak zwane socjalne „bolączki“ superkapitalistycznego moralnie zdegenerowanego społeczeństwa amerykańskiego. Niektóre z pierwszych „wywlekań“ były przez swą dynamikę, jaskrawość i rewolucyjny rozmach wyjątkowo udałe, owocne w następstwach, potrzebne i konieczne. Z biegiem lat stał się Upton monotonny, szablonowy i popularny w najgorszem tego słowa znaczeniu. Jako firma pisarska naukowa zyskał olbrzymi rozgłos przez to, że faryzejska reakcja miljonerska poszczuła nań tysiące płatnych skrybów, które żywcem zdzierały zeń skórę i krajały w pasy. Tropiono go i prześladowano tak, jak tylko to „chamy w smokingach“ jedynie potrafią.

Te persekucje dały mu nawet rodzaj aureoli męczeńskiej równocześnie atoli z dużym majątkiem, jakie przyniosły tantjeny z tomow. Czerwony Upton Sinclair stał się posiedzicielem wspaniałej fermy w Pasadena z pałacową willą, ogrodami, lasami, stał się obszarnikiem i kapitalistą, nie przestając nadal wywlekać kolejno różnych dalszych „bolączek“. I tak dożył lat 56 i 52 tomów, czyli przeciętnie licząc dwa tomy rocznie. W ostatnich latach począł wyraźnie skłaniać się ku komunizmowi, rewanżując się Sowietom za olbrzymią poczytność, jaką się cieszył w masach prymitywnych czytelników rosyjskich.

W bieżącym roku wpadł na dziki pomysł, aby kandydować na gubernatora... Podnieciło go chorobliwie może i to, że w otoczeniu Roosevelta znalazło się też kilku byłych literatów.

Wziął się Sinclair do tego prawdziwie po literacku. Tak jak kiedyś w idealistycznym popędzie założył falanster socjalistyczny „Utopię“, pospędzał ludzi a potem na tem zbankrutował, tak teraz powziął plan, aby z całej Kalifornji zrobić powieściową „Utopię“. Program swój wyłożył najpierw w broszurce pod tytułem „Koniec biedy w Californji“. „E n d P o v e r t y i n C a l i f o r n i a“, w skróceniu E p i c, no i dalsza akcja, kampania prowadzona również e p i c z n i e czyli powieściowo. Wywłaszczenie przemysłu. Komunizm za odszkodowaniem. Precz z kartelami i dywidendami. Niema żadnej prywatnej inicjatywy. Rząd obejmuje wszystko w swe ręce, gwarantując wszystkim d e c e n t l i v i n g (dostatnie życie). I będzie P a r a d i s na ziemi. Byle Uptona Sinclaira wybrano 6-tego Listopada.

Szanse na początku września miał, (nie trzeba tego zatajać) nawet bardzo górne. Nominowanie Sinclaira na kandydata wywołało wielkie wrażenie i wielką w m a s s e s radość. Wrzesień to był miesiąc, w którym jeszcze wszystko szło na lewo. Prezydent pozostawał całkowicie pod „urokiem“, suggestją i pressją radykałów głównie semickich. Cały szereg innych, bardzo wybitnych postaci politycznych pomawiał wtedy Roosevelta publicznie o tendencje komunizujące, a w każdym razie o skrajny radykalizm. Cały szereg senatorów i kongresmenów wypowiedział się wprost c o n t r a „New Deal“ (Nowy Ład) c o n t r a „R e c o v e r y“ (Odrodzenie) c o n t r a „Trustowi Mózgów, contra eksperymentom profesorów, „utopistom“, „dyletantom“. Wystąpili przeciw Rooseveltowi exprezydent Hoover (S a t u r d a y E v e m y P o s t), i wilsonowski colonel House (w „L i b e r t y“) i Teodor Roosevelt (syn prezydenta Taddyego) i Filip Roosevelt, brat stryjeczny. Wystąpił prof. R. Millikan (laureat Nobla) i wielki myśliciel-satyryk Herbert Mencken. Kammerer (nasz...) groził nieubłaganie nadchodzącą inflacją, a colonel House jak szereg innych p r o m i n e n t ostrzegał przed prowokowaniem przewrotu komunistycznego. Na ten okres przypadła kampania kandydacka powieściopisarza Sinclaira. Toteż i on sobie użył za wszystkie czasy i pojechał ze swą „platformą“ programową jaknajdalej, nad samą... przepaść.

Obiecywał za jednym zamachem zgnębić i kapitalizm i bezrobocie, a wszystkie środki do tego celu zdawały mu się święte. Komuniści oficjalni przyjęli jego orędzia do m a s s e s nieufnie, robotnicze organizacje zawodowe chłodno: od progressistów kandydował Haight, od demokratów George Creel, od republikanów konserwatywnych dotychczasowy gubernator Meerian. Natomiast entuzjastycznie do kandydatury literackiej odniosły się liczne po wielkich miastach j a c z e j k i cyganerji artystycznej, snoby i modnisie komunizujące, intellektualni komsomolcy, eleganccy rewolucjoniści z luxusowych hotelowych restauracyj i ten cały świat, czy półświatek nihilistyczny, który tak świetnie zdemaskowała w swej „Czerwonej Sieci“ (T h e R e d N e t - W o r k) E. Dilling.

Jest to dziś najnowszy, „najmodniejszy“ gatunek młodzieży amerykańskiej z bogatych rodzin firm i domów, bawiącej się obecnie z nudów w apostolstwo salonowego komunizmu, kopiujących naśladujących różnych markizów z przed Wielkiej Rewolucji Francuskiej, Mirobeau. Saint-Just, Chamfort). Niedawno całą gromadkę takich „Leninistów“ i „Freudystów“ z miljonerskiemi gagatkami Lamontem (synem wspólnika Morgana) na czele musiano skazać na dłuższe lata w Sing-Singu za zbyt bezceremonialne głoszenie „nowej ewangelji“ po zbyt podejrzanych lokalach nocnych. „Czerwona Sieć“ stanęła tedy ławą za kandydaturą Uptona. Dalej: pokłócony z Hoollywoodem słynny żydowski komik-humanitarysta Charlie Chaplin. No i oczywiście cała żydowska elita inteligencka wolnych zawodów, wszystkie adwokaty, doktory, profesory melomany i melamedy literatury (i sztuk pięknych), wdzięczne Sinclairowi choćby i za to, że choć niby specjalista a jednak napisał panegiryczną obronę — monografję archikapitalisty semickiego Foxa, chwilowo pogromionego po gromcy swego czasu Forda („Tu mówi Fox -Ton-News...“).

Platforma programowa autora „Grzęzawiska“ wzbudziła rzecz prosta dziki popłoch i panikę wśród bezpośrednio zainteresowanych a na zagładę desygnowanych Nababów i Geldhabów, nafciarzy, kiniarzy, plantatorów i latyfundystów leśnych. Kapitalisty dostawały poprostu ataków wścieklizny widząc, że za bogatym a zwarjowanym Don Kiszotem - Pansą stają istotnie coraz większe m a s s e s.

Pierwsze głosowanie próbne poszło zwycięzko, co naszemu „Robotnikowi“ dało pochopnie okazję do tiumfalnego obwieszczenia, że Sinclair socjalista (?) został gubernatorem Californji. „Tak dobrze nie jest“. Ale już to zwycięstwo dolało oliwy do ognia klas i kast posiadających. Druga wygrana to był proces, jaki wytoczył wyborczy komitet Republikański o rzekome sfałszowanie przy rejestracji list wyborczych z 24 tysiącami obywateli. Proces zwolennicy Merriana przegrali, a wśród ultrasów i rewolucjonistów dzika radość. Teraz już stanęło przed burżuazją w całej swej okazałości p e r i e u l u m i n m o r a t o r i u m, upiór specjalizacji i wywłaszczenia. Wobec czego wydobyto złoto z kalety i z safety i sypnięto na arenę. Nafciarze i plantatorzy wywaliły na stół miljony i rozpoczęła się kampanja korupcyjna na całym froncie.

Równocześnie na kapitalny trick wpadły Schylockraty z Hollywood, te rozmaite Meyery, Goldweiny, „prezydent Laemle“, Schencki (Unajted Artists Pikczer). Zagroziły poprostu, że jak ten warjat z Pasadena przejdzie, to oni poprzenoszą wszystkie budy i baseny z girlsami, i dekoracje, i miasta tekturowe, i stado genjalnych reżyserów, i tenorów wyjców, i najpiękniejsze „dzifki“ świata prosto na Florydę do Miamiamiami. Wtedy „Anioły“ (Los Angeles) leżą, a San Francisco djabli wezmą.

I jak rzekły żydy, tak zaczęły niby robić (p r e p a r a d n e s s) i niby zakupywać już grunty, i niby pakować girlsy do wagonów, i niby budy zamykać. Padł popłoch na amatorów Raju Sinclairowego, tych co jeszcze rekrutowali się z burżuazji. Zaczęto ze wszech stron wpływać na dziedzica z Pasadena, żeby trochę opuścił z ceny, to i owo z programu skreślił i miał wzgląd na „prezydentów“ z Metro - Goldwyn - Meyer - Paramount - United - Pictures. Co zrobią Kaliforniacy, jeżeli dziesięć tysięcy najpiękniejszych c i a ł („Roman-Scandali“, „Moulin-Rouge“, „Wesoła Wdówka“) i t. p. przeniosą swe Lary i kanapy na Florydę? Industria kinowa legnie, sex-appeal się skończy, Kalifornia już nie będzie więcej dla turystów a t t r a c t i f. Po jednej stronie Sinclaira stał zbankrutowany rozgoryczony Chaplin i kusił do rewolucji, a po drugiej Rooseveltysta stuprocentowy... Eddie Cantor i namawiał do moderacji, i do... demokracji.

I wtedy Upton Sinclair zaczął robić kolosalne głupstwa, jedno po drugiem. Przestraszył się sam siebie i nagle a d l i m i n a p r e s i d e n t o r u m i prosi o przyjęcie w Hyde - Parku pod New Yorkiem, gdzie rezyduje w lecie Franklin Deano z gromadą rozwodzących się co kwartał synów i córek.

Został oczywiście przyjęty na dwugodzinnej audjencji (w koszulach), poczem zjadł śniadanie familijne i po kilkudziesięciu hallo Upton! hallo Frank! odjechał na jednym ze swych dziesięciu Rolls - Royców.

Rezultat djalogu był taki, że Komitet Wyborczy Demokratów prezydenckich skreślił go ze swego „ticketu“.

W rezultacie: kontrkandydat Zori Creel, drugi zwycięzca przy prawyborach odwołuje swoje obiecane zrzeknięcie się i poparcie Uptona. I „n o m i n a n t“ zawisł literalnie w powietrzu ze swoimi fantarmatami i ze swoim „Epiciem“. Ani Biali, ani Czerwoni, ain Czarni, ani „Słonie“, ani „Bawoły“, ani Żydy, ani Yankesy, ani yankelesy, ani górnicy, ani robociarze.

W ostatnim tygodniu przed elekcją Republikany wpadły na jeszcze jeden, już całkiem szelmowski i szatański pomysł. Wzięły się mianowicie do czytania 52 tomów 56-letniego rewolucjonera „wartego“ czyli taksowanego na 6 — 8 miljonów dolarów (w ziemi i w papierach). Noce i dnie czytano i wyiskiwano co horendalniejsze głupstwa i nonsensy.

Gdy się zbliżał feralny i fatalny dzień 6 listopada, zaczęto równocześnie ładować do wagonów całe kompanie golasek, gwiazdorom i prymadamom kazano wycofać gotówkę z banków i równocześnie mury całej Kalifornji oblepiać afiszami z cytatami z dzieł i utworów Bluffera Sinclaira.

Tłumy kalifordów stawały przed afiszami, czytały i zaśmiewały się, wprost ryczały, wyły i wiły się ze śmiechu.

(Wyrywając cytaty z dzieł największych geniuszów ludzkości można ich łatwo i tanim kosztem ośmieszyć doszczętnie, gdyż na przestrzeni lat czterdziestu pięćdziesięciu na każde p r o znajdzie się c o n t r a. Waszyngtona możnaby tak samo. Edisona także. Sinclaira łatwiej).

Elekcja była naznaczona na 6-tego.

Już 4-tego listopada rannych, zabitych, niedobitych, potrzaskanych wyborców odwożono do szpitali pełnymi autobusami. Pokup Browninngów i Coltów i Parabęlek rósł z godziny na godzinę.

Czerwona Sieć (The R e d- N e t - W o r k) dokazywała cudów waleczności, ażeby jeszcze ratować proletarjusza z Pasadena. Ale już było zapóźno.

Piątego listopada oblepiono Californię afiszami z napisem, który na transparentach nosiło też po wszystkich placach i ulicach z pół miljona sandwich-manów i sandwich - boyów.

Napis brzmiał: „Największą plagą, jaką zna ludzkość, jest Chrześcijaństwo“.

Podpisane: Upton Sinclair.

Powiedzonko jak powiedzonko. Bywały lepsze, głębsze i mądrzejsze, gorsze. Coś z tego wzięto z Nietschego a coś z Gelphanda, Sobelsohna, Kalibanowera et Conys. Cyganeryjski, pijacki szmonces, czkawkowy po literackiej libacji nad ranem („nie pojdem do domu az rano az rano“).

Sinclairowi atoli bardzo zaszkodził w „błyszczącej karjerze“. Ten cytat wyrwany zestawiono bowiem z cytatami z książki o wielkim żydzie z Hollywood („Sinclair przedstawia Williama Foxa“, sic, taki tytuł) no i autor kapitalnego pamfletu na kapitalistyczny korupcjonizm literatów amerykańskich (A B r a s s C h e c k), na „heliotropizm“ literatów, był gotów, oskubany, wypaproszony, i gotów na brytwannę.

Podobnej klapy świat nie widział i oba pół-kule globu.

Stary Frank Merrinn, b. gubernator, wstecznik republikanin, na którym przez c a ł y rok psy (zdechłe) wieszała c a ł a Kalifornia, zyskał 6-tego XI. o 125.000 voten więcej.

Girlom w wagonach, już ubranym do wyjazdu, kazano się rozpakowywać, wracać do „pracowni snów“ i rozbierać spowrotem. „Prezydenty“ unajter pikczer odetchnęły.

Niedoszły zbawca - gubernator wraz ze swym „Epiciem“ i z Chaplinem wracał do pałacu w Pasadena, klnąc na czem świat stoi, że mu świata znów zbawić nie pozwolono. Ohey!

Izabella Lutosławska

Do czytelników „Małżeństwa Zazy“

W tych dniach, nakładem księgarni św. Wojciecha ukaże się w wydaniu książkowem druga część powieści Izabelli Lutosławskiej „Córka“. Druga część nosi tytuł „Małżeństwo Zazy“. Poniżej drukujemy przedmowę autorki do wydania książkowego (Red.).

Oddając do druku „Małżeństwo Zazy“ jako dalszy ciąg „Córki“, pragnę z wdzięcznością zaznaczyć, że liczne listy od czytelników—w ciągu całych dwóch lat ubiegłych — okazały mi tak wielką pomoc, o jakiej nawet czytelnicy nie mają pojęcia.

Widzę we wszystkich tych listach powagę w przeżywaniu losu bohaterów i w wydawaniu sądu o nich.

Z powagą odnosi się zwykle człowiek do zagadnień istotnych i do ludzi żywych. Toteż listy te dały mi głębokie zadowolenie. Uczułam odrazu bliski mój związek z tymi, dla których piszę.

Czytelnicy z tem samem przejęciem badali rysy rodzinne Barskich i Zbigniewa Bobrowskiego, z jakiem ja — staram się ciągle ich widzieć. Potrzeba zrozumienia Losu — potrafi łączyć czytelników z autorem dlatego, że ta potrzeba jest jednakowa w życiu i w — sztuce.

Otóż ta powaga, ten ciężar niejako i smutek, towarzyszący zdobywaniu okruchów wiedzy o duszy ludzkiej — stanowi o zasadniczej postawie autora.

Jeśli czytelnik tę postawę poparł, jeśli ją zrozumiał i choć na chwilę się nią przejął — to autor może być zadowolony. Albowiem wtedy nareszcie nie jest już samotny. Pisarz z czytelnikami idzie jedną drogą. Patrzą, widzą, a ogarniająca ich zaduma nad życiem ludzkiem, nad różnorodnem źródłem cierpień — budzi miłość do człowieka, najlepszą rzecz na ziemi.

— — — — — — —

Czytelnicy spoczątku zdradzali raczej nienawiść a często i pogardę dla Zazy. A jednak oni sprawili to, że opisuję dalsze jej życie. Czytelnicy nalegali, nie chcieli, by Zaza znikła im z oczu.

Zainteresowanie czytelników postaciami powieści jest pewnego rodzaju współautorstwem, bowiem ożywia twórczość autora.

Gdy czytelnicy na wieczorze dyskusyjnym, poświęconym „Córce“ w Warszawie (marzec 1933 r.), zdecydowali, że „Zbigniew wróci“, to ani Zaza ani ja nie miałyśmy pojęcia o tem, że tak będzie. Ale czytelnik już wiedział.

Może wpływ jego na odległość odmienił Zazę o tyle, by umożliwić narzeczonemu powrót do niej? Wiem, że ona jest żywa, widzę ją — ale ciągle się zmienia. Pod czyim wpływem ona się zmienia?

Listy czytelników wykazały też w całej ozdobie dar rozróżniania zła od dobra. Są w stosunku do autora ostrzegawcze, opiekuńcze i — nieubłagane. Jak nieubłagana jest logika życia, wykazująca to, czego człowiek jeszcze nie widzi, a co nastąpić musi.

To szczególne współautorstwo stanowi wyjątkowo interesującą podniętę twórczą. Autor musi się skrupulatnie zastanowić, by tę podnietę wdzięcznie przyjąć, wyzyskać, a jednocześnie zachować niezmąconą własną wizję, bez której pisarz zatraciłby swoje oblicze.

Przywiązanie czytelnika, którego mam liczne dowody, stanowi też osłodę w poczuciu niesmaku doznanego skądinąd.

Głos pewnego gatunku „krytyków“ w Polsce, mianowicie tych, którzy się ukrywają pod skromnemi inicjałami lub nie podpisują się wcale — stoi w rażącej sprzeczności z pomocą, jakiej udziela autorowi choćby najsurowsza krytyka rzeczowa.

Bywają u nas anonimowi recenzenci, chwytający drobne fragmenty z powieści i oświetlający je na swój sposób.

Naprzykład: zaledwie „Małżeństwo Zazy“ zaczęło się ukazywać w odcinkach, zjawiła się w pewnem piśmie notatka apelująca aż do Rewolucji Francuskiej dla obronienia fryzjera — którego ja w powieści rzekomo krzywdzę brakiem głębszego wniknięcia w psychologję ludzi pracy! Notatka nie nosiła podpisu, natomiast miała nagłówek tłustym drukiem i zamieścił ją — co mnie zdziwiło — wielki organ stołeczny. Znam więcej notatek podobnych.

Zadaniem anonimowych recenzentów czy reporterów, ich celem, pomimo całej błahości metod i niesumienności — zaiste godnej politowania — jest nie byle co, i dlatego trzeba o nich wspomnieć.

Celem tym jest: poróżnienie autora z czytelnikiem, czyli odebranie pisarzowi najmilszego oparcia, na jakie może liczyć w swej pracy.

Często oni właśnie głuszą w pismach głos poważnej krytyki i, niewiadomo komu służą — zabiegają o to, by zdemoralizować czytelnika.

Wystarczy tu przytoczyć zdanie znakomitego Calveta[1]), który napewno ten typ ludzi miał na myśli, gdy pisał:

„Ostatecznie, pisarz ma chyba prawo — podobnie jak oficer — być sądzonym tylko przez równych sobie“.

W przeciwieństwie do tej anonimowej, ślepej niechęci stoi czytelnik, który się podpisuje imieniem i nazwiskiem, a choć wymaga ode mnie bardzo wiele — ufa i sprzyja mi, odnosi się do zagadnień i do postaci powieści z powagą, która jest postawą niewymownie autorowi bliską.

Taki czytelnik poucza, wspiera, spełnia to, co jest zadaniem rzetelnej krytyki, przeprowadzając kontrolę zamierzeń autora i potrzeb opinji publicznej, tej siły nieznanej, decydującej o powodzeniu lub klęsce. W ten sposób staje czytelnik poniekąd w jednym szeregu z fachową krytyką literacką. Mnie, ze zrozumiałych względów, w tem miejscu mówić o niej nie wypada, ale jej autorytet w osobach kilku znakomitych krytyków polskich jest dla mnie pełen wielkiego znaczenia.

Gdy sędziwy, 82 letni poważny czytelnik, nie znając mnie osobiście, zadał sobie trud przeczytania obu powieści uważnie i przysłał mi zebrane przez siebie wycinki z wszelkiego rodzaju uwagami, wykazując nawet usterki językowe, oraz napisał, że ja ich nadal robić „nie mogę“ — to mi wielce pomógł.

Taksamo powtarzająca się w listach: „troska o dalszy los Zbigniewa Bobrowskiego“, wyrażona nieraz przez czytelników w jednakowych prawie słowach — była dla mnie pouczająca. Pomogła mi również odraza, z jaką pewien typ czytelników wyrażał się o Bobrowskim, nie wierząc w istnienie podobnego charakteru i takich, jak jego, poglądów... Im żywsza była ta odraza — a okazywały ją szczególnie młode kobiety i młodziutkie panny — tem bardziej wzmagał się mój upór, by dobitniej wreszcie przedstawić tę rzeczywistość, którą czytelnicy, z mojej winy, brali dotąd za papierową iluzję...

W ten sposób powstał zamiar napisania 3-go tomu. Plan trudny, niewdzięczny — ale powzięty na gruncie walki o prawdę, więc niemożliwy do zaniechania.

Z jednej strony pogarda dla Zbigniewa, kryjąca w sobie wstręt do „zasad“. Z drugiej, troska o życiową klęskę Bobrowskiego, wynikająca właśnie z zasadniczych pobudek — zdecydowały o realizacji. Czytelnik pomógł mi i tym razem. I to pomógł znacznie skuteczniej od recenzenta, uważającego np. „Córkę“ za rzecz: „utrzymaną w gładkim poziomie stosunków towarzyskich“, ignorującego tragedję matki, córki, jej kochanka i narzeczonego.

Nigdy nic podobnego nie usłyszałam od czytelników. Czasem ich listy były pisane nawet gniewnie, ale żaden — nie był bezduszny.

A niedawno zdarzyło się, że list czytelnika stał się dla mnie rodzajem objawienia: wyjaśnił mi zadanie autora, wskazał drogę niepewną jeszcze rok temu, gdy sama broniłam hasła: „sztuka dla sztuki“.

Ten czytelnik był więźniem. W więzieniu, czując się niewinnym, przeżywał zagadnienie honoru — droższego nad życie. I ciężko cierpiał.

List jego, podpisany pełnem nazwiskiem, kończy się słowami:

„...Za wyświadczone mi dobro moralne przesyłam wyrazy...“

Ów więzień dotknął nagle dwoma słowami czegoś, co jest najważniejsze. Nie mogłam spokojnie odczytywać tych słów a wracałam ciągle do listu i miałam go długo przed sobą.

Dobro moralne! Czyżby ten cierpiący, upokorzony w więzieniu człowiek znalazł to, o czem w swej pokorze nie śmiał myśleć autor? Czyżby wyraził — natchniony — jedyne zadanie życia i twórczości?

Czytelnicy! Od Was przyszło do mnie dobro moralne. Obym Wam mogła kiedyś oddać tem samem.

[1]) J. Calvet. O twórczości i krytyce.

Juljan Ejsmond

Stół i nożyce

Bajki

Na półkach księgarskich ukazuje się w tych dniach pośmiertne wydanie zbioru bajek Juljana Ejsmonda p. t. „Stół i nożyce...“ Tom, zawierający 304 stronnice poprzedza przedmowa prof. Józefa Ujejskiego. Zbiór zawiera wszystkie najcelniejsze utwory bajkopisarskie Ejsmonda, wśród nich zaś i takie, których dotąd nie było w wydaniu książkowem. Książkę wydaną pod względem graficznym bez zarzutu, zdobi portret autora.

Z tomu tego wyjmujemy poniżej kilka bajek. Jak nic czas im nie zaszkodził! Zdają się być wczoraj pisane. Tętni w nich to, co stanowi o klasie bajkopisarza: wieczysta aktualność. Na inne może, niż dzisiejsze okazje pisane, stosują się i do dzisiejszości.

Książka niezapomnianego poety, tragicznie zmarłego przed kilku laty w kwiecie wieku, powinna się znaleźć w każdym domu. Niechaj to będzie hołdem wobec Jego pamięci. (Red.).

Psia dola

I.

Do miasta nieprawości pełnego i łez,
do miasta nikczemności ludzkiej i nadużyć,
dostał się uczciwy pies,
ażeby uczciwie służyć...

Jego pan, człowiek dobry, rzekł: „Wierny mój psie,
źle na świecie dzieje się...
Proszę cię przeto, przy nodze mej biegaj:
gdziekolwiek zwęszysz złodzieja — nie czekaj,
lecz głośno szczekaj —
wszystkich ostrzegaj“.

Pies wolę pańską zrozumiał odrazu.
Przyjaźnie merdnął ogonem,
co znaczy: „Wedle rozkazu
wszystko będzie wypełnionem“.

Ledwie wyszli na miasto, a uczciwa psina
niezwłocznie warczeć zaczyna.
Płynie ulicą przechodniów gromada,
dyrektorzy, paskarze,
sklepikarze, luminarze,
a pies wierny ujada...

Aż go pan uspokaja: „Cicho bądź, kochanku.
Bez powodu, piesku, szczekasz.
Ten pan — to ceniony lekarz...
A ten — to dyrektor banku...
A ten — piastuje referat...
A ten — to prawie literat“...

Lecz pies uczciwy perswazji nie słucha.
Próżna nadzieja!
Gdzie tylko zwęszy złodzieja,
szczeka, psia jucha...

Pan o poranku
dąży do banku
podjąć pieniądze, które ma na koncie,
czeka
na swoją kolejkę w kącie...
A pies szczeka
bezustanku...

Pan, jako państwa obywatel prawy
idzie załatwić podatkowe sprawy
Czas ucieka.
Pies się dokoła rozgląda i szczeka.

Szczeka nieuprzejmie
przed ogródkiem w sejmie,
przechodząc Wiejską nawet nóżkę czasami
[podejmię...

Szczeka na ulicy.
Szczeka w kamienicy.
Nawet w urzędzie.
Jednem słowem — wszędzie.

Od ciągłego ujadania
Pan się słania.
Głowa mu puchnie
Głuchnie.

Wierny pies ciągle u nóg pańskich biega
i szczeka w ciszy...
Swojego władcę ostrzega,
lecz ten już ogluchł — nie słyszy...

II.

Gromadzą się zwierzęta.
Krótka narada:
„Bestja przeklęta
ciągle ujada!“
„Psie! jeśli widząc złodziei
nie będziesz niemy,
niemasz dla ciebie nadziei!
Jutro cię zredukujemy.
Bo po co tyle hałasu?
Szkoda czasu i atłasu!“
„Świata nikt nie polepszy“,
rzekł jeden z wieprzy.
„I na cóż szczekać tak brzydko?
Bezprawie? Prawo jest jak to korytko:
można się najeść — gdy doskwiera głód,
można je obejść — gdy jadła masz wbród“.
„Złodziej?“ — rzekł lis — „istotnie, to brzmi
[niezbyt ładnie...
Stare dewotki
roznoszą plotki,
że złodziej podobno kradnie...
Złodziejstwo to jest jednak sport, to umiejętność,
pojętność,
sztuka, namiętność,
majętność“...

Przemówił osioł. Bowiem jakażby narada
doniosła,
gdy każdy gada,
mogła się obejść bez osła?
Rzekł: „Ustawa? Paragraf? A cóż mi ustawa?
Prawa? Różnie się dają komentować prawa!“
Brawa

„Pies zanadto się naraża.
Zawielu możnych obraża
Zły to efekt wywiera,
to niepedagogicznie,
nieetycznie,
niepatrjotycznie...
To prestiż państwu odbiera.
Psa trzeba za to skarcić — wychłostać.
Musi dostać! Musi dostać.
Bardzo, bardzo smutna sprawa...“
(Na bydlęcych ławach brawa).

„Zgon mu, zgon!“
Zakrzyknęły zgodnie świnie
o szczecinie
obciętej à la garçonne.
Osioł zaś rzekł urzędowo:
„Cisza! Pies oskarżony ma ostatnie słowo.
Nim ukończymy narady
poznajmy, jakie zasady
ma ten oszczekiwacz zły...“
Pies na to: „Mam ja jedną jedyną dewizę:
wszystkich nieuczciwych — gryzę!“
To rzekłszy — pokazał kły.

Lis i Zając

Po śmierci ostatniego z lwów, w królestwie
[zwierząt
zaczęły się szemrania licznych malkontentów,
głos rozpaczy i lamentów,
że z władzą absolutną wzrasta ciągle nierząd,
że należy dać konstytucję co się zowie,
znieść przywileje, zwierząt służące połowie...
Jednem słowem zwierzęta
pragnęły obrać sobie prezydenta.
Lis starał się przytłumić niezadowolenie
i umysłów wrzenie,
by niedopuścić do formacji republiki.
Zebrawszy więc łosie, dziki,
a z egzotycznych bestyj tygrysy, lamparty,
zaczął bój zażarty,
wspomagany przez wyższe sfery puszcz i lasów,
by odrestaurować ustrój dawnych czasów.
Nękając wszystko w polu, puszczy, dżungli, kniei,
zbuntowanym odbierał ostatki nadziei.
Wreszcie, gdy ruch był już całkiem stłumiony,
zaproponował wybrać króla, a z powodu
potrzeb czasu, dać konstytucję dla narodu.
Pod opieką więc szponów, racic, kłów i rogów,
wezwawszy leśnych bogów,
wzniósł zająca do monarszego majestatu.
(Sam nie chciał tronu, bo się lękał atentatu).
Zwierzęta drobne wieść ta trochę pocieszyła,
bo potulność zająca i jego wstydliwość
gwarantowała, że się skończą raz bezprawia,
brutalna siła
i możnych będzie ukrócona chciwość.
Lis zaś doradcą będący przy królu
takie mu przedstawił plany
w ministerjum zmiany,
aby naród jaknajmniej cierpiał trosk i bólu:
„Tekę oświaty niech nietoperz bierze,
służąc sprawie społecznej,
bo choć nie znosi on tarczy słonecznej,
w mroku z energją wielką dąży do światłości.
Ministrem komunikacji
z racji
niepospolitej rozwagi
mianuję żółwia, który chodzi... wolno
(więc jest prawdziwym kochankiem Wolności!)
i nienawidzi przytem fałszu ani blagi.
Ministrem finansów
uczynię małpę z rodziny szympansów,
która zdolności ma metazwierzęce,
lecz, najważniejsza rzecz — aż cztery ręce!
Tekę wojny otrzyma kogut,
bowiem jest bardzo wojowniczy
i w sposób tajemniczy
trafnie zgaduje porę burzy i niepogód.
Tekę przemysłu wreszcie — najlepiej dać sroce,
bo ta we dnie i noce
zbiera złoto i wszystko w świecie, co się błyszczy.
Przeto sądzę,
że w skarbie państwa wielkie zgromadzi pieniądze.
Co do mnie, chciałbym strzec sprawiedliwości,
o królu, wśród twoich włości...
Przy takim gabinecie nic zwierząt nie zniszczy!“

Tak się stało, jako chciał. Dziś leśne stworzenia
mają sto razy gorsze, niż dawniej, cierpienia,
bo choć zając łagodny nie zna nienawiści,
Lis pod pantoflem trzyma ministrów i władcę,
a służąc im za doradcę,
czerpie dla siebie coraz to większe korzyści.

Pochwała pleców

Kłóciły się ze sobą ciała różne części,
o to, której najlepiej w Warszawie się szczęści.
Głowy są na to, aby nosić kapelusze,
Dzwony mają serduszka, a żelazka dusze...

Rzekły usta: „Gdy mieszkasz w Warszawie,
[nieboże,
bez głowy możesz posiąść najwyższe urzędy,
bez serca możesz zyskać dostojników względy,
lecz jeśli pleców nie masz, nic ci nie pomoże“.

Literacka dola

I.

Przekonałem się o tem w tym roku, jesienią:
niesłuszne są zarzuty, tak liczne i głośne,
że nasze sfery „odnośne“
literatury nie c e n i ą...

Powiedzieć się wręcz odważę,
iż cenią piśmiennictwo wyżej — niż pisarze!

Pytacie mię, gdzie dowody?
Gdy wam obliczać zaczną wpływy i dochody
i nadeślą „wezwanie wpłacenia“
podatku od tego dochodu —
zobaczycie, jak władza o c e n i a
literaturę, chlubę całego narodu!

Każde słowo ma wagę klejnotów.
Każda wasza książeczka — jest perłą...
Każdy urzędnik uważać was gotów
za królów, którzy dzierżą złotolite berło!

Każdy wierszyk, choćby najmniejszy
ma dla nich wartość djamentu...
Czyż to można zwać brakiem uznania
i brakiem sentymentu?

A jacy są czytani,
najmilsi czytelnicy!
Żadna bajka się nie ukryje
przed okiem ich w tajemnicy!...

Każdy wasz utwór pan taki
z niezwykłą uwagą pochłania,
a potem przesyła z urzędu
kategoryczne wezwania...

Gdyż w wierszu mówił o lubej,
że zamiast włosów ma złoto,
od złota będziesz im płacił
podatek, nieszczęsny idjoto!

Gdyś ząbki jej równał do pereł, —
Od pereł ci każą zapłacić...
Mówiłeś, że jest twym skarbem?
Skarb musisz podatkiem wzbogacić...

II.

Przekonałem się o tem, iż błędne są żale,
tak liczne i tak głośne,
że nasze sfery „odnośne“
nie z a j m u j ą się dzisiaj piśmiennictwem
[wcale...
Pytacie mię, gdzie dowody?
Wpierw obliczają dochody
zawzięcie
a potem okazują z a j ę c i e...
...mebli...

Z dżungli reklamy filmowej

Poradnia świadomego kinomaństwa

czyli

nauka racjonalnego chodzenia do kina

W r. 1935 wypada jubileusz 40-lecia istnienia kinematografu. Od 40-tu już lat na obu półkulach globu ziemskiego ludzie chodzą do kin i do chwili obecnej nie nauczyli się świadomego i racjonalnego chodzenia. Chodzą do kin na chybił - trafił, stając przy kinie kupują kota w worku, czyli bilet na film. Często - gęsto dają się złapać na lep naiwnej, a jakże prowokacyjnej reklamy i... wpadają jak „śliwka w kompot“.

Po wyjściu zaś z kina, żałują z całego serca zmarnowanych pieniędzy, oczu i czasu. Słusznie bowiem powiada przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie“. I oto obecnie, ażeby uczynić go „mądrym przed szkodą“, rozpoczynam wykłady racjonalnego chodzenia do kin. Istnieje przecież nauka chodzenia po ulicach (niestety również w Polsce zupełnie nie spopularyzowana, gdyż nikt oprócz posterunkowych jej się nie uczy). Dlaczego więc nie można uczyć się chodzić do kin?

A więc zaczynamy!

Rzadko kiedy spotyka się ogłoszenie, w którem nie istniałaby treść propagandowa. Gdybyśmy przypadkiem ujrzeli w piśmie taką wzmiankę:

„Kino X Y. Z. pocz. g. 5 wyświetla film Eryka Pommera p. t. „I. F. 1-nie odpowiada“. W rolach głównych: Charles Boyer, Daniela Parola i Jean Murat“ —

byłaby to wzmianka informacyjna, z której dowiedzielibyśmy się, jaki film wyświetla kino X. Y. Z, gdzie się ono mieści, kto w nim gra i kiedy rozpoczyna się scans. Lecz takich niestety wzmianek nie spotykamy. Wzmianka o „I. F. - — nie odpowiada“, którą mogliśmy spotkać na łamach pism stołecznych, brzmiała natomiast w następujący sposób:

„Kino X. Y. Z. wyświetla arcydzieło produkcji europejskiej... Gigantyczna walka umysłu ludzkiego z rozpętaną burzę żywiołów i nienawiści p. t. „I. F. 1 — nie odpowiada“. W rolach głównych trzy asy ekranu: Charles Boyer, Daniela Parola, Jean Murat. Ceny od 1 złotego“.

Widzimy więc, że **„arcydzieło produkcji...“ — „gigantyczna walka...“** i **„trzy asy...“** wszystko za „jeden złoty“ polski, to są czcze słowa, mające służyć już nie jako informacje, lecz jako przynęta. Częstokroć „lepem“ takim jest już sam tytuł, odprowiednio zredagowany przez naszych filmowców. Z filmu, który we wszystkich krajach był wyświetlany pod tytułem: „Marie“, robią oni „Grzech jednej nocy“; z filmu z Marleną Dietrich, noszącego skromny tytuł: „Scarlett Impresse“ robię „Bataljon kochanków“ (lecz cenzura, spostrzegłszy się w porę, zmieniła go na „Imperatorową“).

Film z Harry Baurem p. t. „Ta stara kanalja“ („Cette vieille Canaille“) ochrzczono mianem „Erotoman“, przed samą zaś premjerą zmieniono na „Grę zmysłów“. Rzecz oczywista, że obrawszy dla filmu tak wiele mówiący tytuł, prowadzi się odpowiednią reklamę. Oto proszę: **„Bunt krwi i ciała — gra zmysłów“ w roli popisowej Harry Baur“... „Pożądanie i miłość, pokusa i grzech w największym filmie erotycznym wszystkich czarów p. A.: „Gra zmysłów“** wkrótce w kinie N. N.

To samo kino wyjątkowo lubuje się w reklamie dla erotowanów, wszystkie prawie wyświetlane filmy reklamując w sposób niesmaczno erotomański. Oto co czytamy o wyświetlanym w tym kinie filmie sowieckim — „Burza“:

„Zew rozkiełzanych namiętności, krzyk protestu zbuntowanej kobiety. Pierwszy obyczajowo-erotyczny arcyfilm Z. S. R. R. „Burza“ z udziałem czołowych artystów scen sowieckich. Już w sobotę w kinie N. N.“ Inna wzmianka: **„W pożodze zmysłów, w huraganie żądzy — jak ćma w płomieniu lampy krąży bohaterka pierwszego obyczajowo erotycznego filmu najnowszej produkcji Z. S. R. R. „Burza“ z udziałem asów scen sowieckich“.**

Inna wzmianka o tym samym filmie ma charakter jeszcze bardziej makabryczny: **„Pierwszy wielki erotyczny film najnowszej produkcji sowieckiej „Burza“ — zmysłów, namiętności, żądz** w g. słynnej powieści Ostrowskiego.

Niemniej erotyczną reklamę prowadzi inne kino pisząc: **„Prywatne życie Henryka VIII“ — Erotyczne dzieje króla — niewyczerpanego kochanka (sic!) W r.** gł. Ch. Laughton oraz kom. **„Namiętni kochankowie“.**

Zachęcająco i frywolnie wygląda także wzmianka: **Dziś o godz. 12 w nocy intymny pokaz „Kleopatry“, „Petersburskie noce“ dla młodzieży dozwolony (?) pozatem (sic!) nowa i stara Moskwa.**

Inny charakter, bo bardziej idjotyczny ma przedpremjerowe ogłoszenie pewnego kina z dnia 29 Listopada 1934 r.:

„Wezwanie pod adresem Lubitscha, René Claira, r. Sternberga!!! CO powiecie o tem, CO Jutro Filmja Sowiecka zaprezentuje w kinie N. N. Gigantyczny rozmach, Fascynujący Rytmem Muzyki PROKOFJEWA „Car — szaleniec“ — nowy przebój Z. S. R. R.

O rozmaitych, tak licznych gatunkach reklamy pisałem już niejednokrotnie. Przytoczę jednak tym razem jeszcze kilka „kwiatków“.

Wzmianka dla modniś: **„Pewnego rodzaju emocję przeżywa płeć piękna na najnowszym filmie Joan Crawford p. t. „Chained“. W filmie tym Joan Crawford w roli kochanki a potem żony miljonera nosi ni mniej ni więcej tylko 19 (dosłownie) wspaniałych sukien, projektowanych przez słynnego dzisiaj na całym świecie rysownika Adriana“** Współczujemy z całego serca biednej Joan Crawford. 19 sukien nosić na sobie to sztuka niciada.

A oto wzmianka dla sztubaczek: **„Anny Ondra kocha rzadko. Za to, gdy serce jej zabije żywszem uczuciem, jest bardzo zachłanna. Wymaga naprzykład od męskiego objektu swej miłości — 100 (wyraźnie, sto) pocałunków dziennie“.**

Wzmianka dla poetów: **„Każdy dziś karioką żyje, każdy się w tym tańcu wije“.**

Reklamowa dla daltonistów: **„Dramat ludzi w strojach białych, lecz o sercach, płonących krwawym płomieniem“.**

Dla rzeźników: **„Nóż leży ci na gardle, musisz iść na premjerę karioki“.**

A oto reklama dla alkoholików: **„Szampan rozdajemy darmo w postaci szampańskiej komedji p. t. „Karioka“.** Dla atletów: **„miłość silniejsza jest jak obowiązek, silniejsza jak obawa śmierci“.** Dla czyścicieli miejskich, czyli t. zw. „hycli“:

„W wyświetlanym obecnie filmie „Posażna jedynaczka“ poza świetną Marion Davis zwraca uwagę całej stolicy przedewszystkiem (hm!) pies. Pies ten to najnowsza zdobycz z gatunku Arjerów, rasa niesłychanie cenna, ale też i znakomicie zmyślna...“

Reklama dla kowali: **„Czarny kot“ — film rozpalający wyobraźnię do białości“** (Autor wzmianki ma widocznie w głowie żelazo).

Reklama dla strażaków: **„Warszawa pali się... do trzech konkursów Foxa na wielkim Wieczorze Melodyj Cygańskich“.**

Wzmianki meteorologiczne: **„Na barometrze popularności gwiazd następują ciągłe zmiany...“. „Listopad? Jesień? Nic podobnego! Najprawdziwszą wiosnę zapowiada popularny Prejean w filmie „Kryzys skończony...“**

Oto rodzaje ogłoszeń reklamowych, które należy umieć czytać „mnemotechnicznie“ i wyławiać fluidy rzeczywistości z głęboko ukrytej prawdy. Autorowie tych wzmianek tak głęboko schowali prawdę, iż doprawdy sami jej odnaleźć nie potrafią. Pewna wzmianka o filmie „Książę Arkadji“ jest zatytułowana **„My, z Bożej łaski“.**

Rzeczywiście — „wy“ — „z Bożej łaski“...

Sandacz...